Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Fragment powieści *Mur*

Siedział zgarbiony i wpatrywał się w czubki własnych butów. Unikał patrzenia w kamerę. Myślał nad swoim życiem. Nad losem, który doprowadził go do obecnego punktu w czasie.

Podniósł głowę na stukot kroków. Pułkownik Balbis, szef prezydenckiej ochrony, prowadził dwóch uzbrojonych żołnierzy. Obaj mieli karabiny maszynowe przewieszone przez pierś, każdy prawą rękę opierał na kolbie, lewą obejmował lufę.

Odruchowo już zapuszczał rękę do kabury przy pasie. W porę sobie przypomniał, że jest pusta. A przede wszystkim myśl o sięgnięciu po broń nie powinna mu nawet przyjść do głowy.

Dźwignął się z krzesła. Po plecach spływała mu zimna strużka potu. Wóz albo przewóz.

Balbis głową pokazał kierunek i ruszył pierwszy. Był średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała, ale z jego kocich ruchów biły pewność siebie i siła.

Poczuł w okolicy krzyża ucisk lufy. Posłusznie pomaszerował. Balbis wyprzedzał go o cztery kroki. Kierował się do dwuskrzydłowych drzwi w końcu korytarza. Otworzył je bez pukania i wszedł, dając mu ręką znak, by podążał za nim.

Gabinet okazał się o wiele mniejszy, niż się spodziewał. Przez dwa wysokie okna wpadało dzienne światło. Solidne dębowe biurko, wysprzątane do ostatniego papierka, z rzędem telefonów i panelem migających przycisków, wypełniało przestrzeń między prawym kątem pokoju a najbliższym oknem. Martens siedział za biurkiem, bez marynarki, w krawacie. Przy długim metalowym segregatorze, ciągnącym się przez niemal całą długość lewej ściany, stał i układał teczki mężczyzna o śródziemnomorskiej urodzie. Rigamonti, osobisty sekretarz prezydenta. Naprzeciwko segregatora przylegała do ściany oszklona witryna z książkami, a w miejscu gdzie się kończyła, znajdowały się proste drewniane drzwi z gałką zamiast klamki. Duży, skórzany fotel z wysokim oparciem, skierowany przodem do biurka, był pusty.

- Proszę zostać, pułkowniku – powiedział Martens. – Niech pan zamknie drzwi i dopilnuje, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Mówił inaczej niż na wiecach – jakby dopadło go zmęczenie. Albo jak ktoś nie do końca przekonany do swoich racji.

Nie wstając zza biurka, spojrzał na Kurtza.

- Sierżancie, ma pan na rękach krew osiemnastu osób.

- Dziewiętnastu. W szpitalu właśnie zmarł pracownik dworcowej restauracji.

Głos dochodził od strony fotela przed biurkiem. Grossman!

Kurtz po raz pierwszy zwątpił, że uda mu się wyjść cało z opresji. O osiągnięciu zamierzonego celu nie wspominając.

Martens ruchem ręki przywołał Rigamontiego. Sekretarz podszedł i położył przed nim na biurku otwartą teczkę.

- Robert Koenig – przeczytał Martens i wrócił spojrzeniem do Kurtza. – Dlaczego jego pan zabił?

- Kto to taki?

- Robert Koenig, kierowca autobusu linii Delta.

- Brał udział w spisku.

- Bzdura! Zaprzeczy pan?

- Nie.

- Więc po co ta bajeczka?

- Spisek brzmi dużo groźniej niż atak pojedynczego zamachowca.

- Nawet kłamstwo musi być wiarygodne. A nie ma cienia dowodu, że Rakoczy i Koenig się znali.

- Jest nagranie z kamery. Rakoczy przysiada się do Koeniga i rozmawiają prawie dwie minuty.

- Treść zapisu z kamery przeczy wersji o zmowie.

- Wystarczy wybrać początek. Do pierwszych piętnastu sekund można dopisać dowolną interpretację.

- W karabinie były cztery kule. Rakoczy blefował, mówiąc Stolpowi, że załadował sześć kul. A to znaczy, że nie zamierzał zabijać dzieci.

- Liczy się treść oficjalnego raportu. Według niego Rakoczy zabił rodzeństwo z zimną krwią.

Ledwo Kurtz to powiedział, fotel bardzo powoli obrócił się w jego stronę i Grossman zsunął się na podłogę. Odznaczał się nieproporcjonalną budową ciała – głowa i tułów były prawidłowo ukształtowane, ale karłowate nogi i krótkie ręce zdawały się należeć do dziecka. Kołysząc się z boku na bok, podszedł i zatrzymał się dwa metry od Kurtza. Odchyliwszy do tyłu głowę, wwiercał w niego wyłupiaste oczy. Kurtz poczuł się nieswojo.

- Wiemy, jak było naprawdę. Rakoczy ma na koncie dwa trupy, ty niemal dziesięć razy tyle. Jak to byś zinterpretował?

- Nie ja jeden strzelałem...

- Żołnierze wykonywali twoje rozkazy. Gryzą już ziemię, ty żyjesz. Jak myślisz, dlaczego?

- Działałem dla dobra Republiki.

- To herezje, Kurtz!

Kurtz stał na baczność, nie patrzył Grossmanowi w oczy i narastał w nim lęk. Nawet jeśli wszystko potoczy się po jego myśli, w Grossmanie może mieć największego przeciwnika.

Albo sprzymierzeńca. O wszystkim zadecydują najbliższe dwie minuty. Przełknął ślinę i powiedział:

- Tak jest, panie ministrze.

Grossman nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Zaczął skubać granatowy fular w białe grochy. Potem czubkami palców wygładził granatową marynarkę.

- Ile masz wzrostu, Kurtz?

- Metr dziewięćdziesiąt pięć, panie ministrze.

- Powiem ci, co widzę. Widzę sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów kretyna, który od dwóch dni powinien być martwy.

- Tak jest, panie ministrze. Proszę mi tylko pozwolić przedstawić mój punkt widzenia. O zabójstwie dwóch osób ludzie zapomną po tygodniu. A przeprowadzony na zimno zamach, w którym ginie dziewiętnaście niewinnych ofiar, może wyzwolić w ludziach autentyczny gniew. Te dziewiętnaście trupów na długo scementują Republikę. – Odważył się spojrzeć na Grossmana. Następnie przeniósł wzrok na Martensa. – Gdyby w obecnej sytuacji musiało dojść do czystek, nikogo to nie zdziwi. Podobnie nikt się nie odważy sprzeciwiać niepopularnym reformom.

Przerwał, by się upewnić, że go słuchają, i dopiero wtedy dokończył:

- A bez reform i odważnych decyzji Republika w obecnym kształcie może się nie utrzymać.

Mina Grossmana nic nie wyrażała. Martens obrócił się w fotelu w stronę okna. Patrząc przed siebie, powiedział:

- W jednym ma pan rację, sierżancie. Dobro państwa wymaga ofiar. – Okręcił się do biurka i przyjrzał Kurtzowi. – A jeśli w interesie Republiki również i pana trzeba będzie poświęcić?

- Jestem tego od samego początku świadomy, panie prezydencie.

- Czego pan oczekuje? Awansu? Niedługo się zwolni stanowisko zastępcy dowódcy stołecznego garnizonu Czerwonych Koszul.

- Myślałem raczej o służbie w prezydenckiej ochronie.

Był pewien, że Martens zapyta dlaczego i zastanawiał się, którą z przygotowanych odpowiedzi wybrać. Stało się inaczej.

- To wszystko, sierżancie?

- Tak.

- Może pan odejść.

Kurtz skinął po żołniersku głową i odwrócił się. Szedł już, kiedy dogonił go głos Martensa:

- Niech pan zaczeka. – Jakub Martens pokazywał drzwi przy witrynie z książkami. – Na korytarzu czeka oficjalna delegacja z zagranicy. Pułkownik Balbis wyprowadzi pana bocznym wyjściem.